№ 16. Łowicz, 17 kwietnia 1914 roku. Rok IV

ŁOWICZANIN

Tygodnik społeczno-ekonomiczny i literacki, poświęcony sprawom Łowicza i jego okolic. Wychodzi co piątek.

Przedpłata z przesyłką pocztą.		bez przesyłki.		Cena ogłoszeń za wiersz garmontowy lub jego miejsce:			
Rocznie . . . . rb.	3.00	Rocznie . . . . rb.	2.00	Przed tekstem na 1 stronie kop.	50	Drobne ogłoszenia za wyraz kop.	2
Kwartalnie . . . . . kop.	75	Kwartalnie . . . . . kop.	50	Nekrologi wiersz garmont. „	30	Ogłoszenia o lokalach i poszukiwanej pracy za 3 wiersze kop.	25
				Reklamy po tekście . . . „	25		
				Ogłoszenia zwyczajne „	20		

Adres Redakcyi i Administracyi: **Łowicz**, Warsz. gub.

Rękopisów niezastrzeżonych redakcja nie zwraca.

Numer pojedyńczy 5 kop.

Administracja „Łowiczanina" znajduje się przy księgarni K. Rybackiego. Telefon № 42.

Prenumeratę i ogłoszenia przyjmują: na Nowym Rynku Zakład fryzjer. **F. Ziółkowskiego**, w Sochaczewie skład Aptecz. W. **Pawłowskiego**, w Skierniewicach księgar. W. **Zielińskiego**, w Żychlinie skład Aptecz. W. **Przeździeckiego**, w Kutnie księg. W. **Całkowskiego**.

KALENDARZ.

† *Piątek*. Aniceta P. M., Roberta W.*)
Sobota Bogumiła W., Apolonjusza M.
Niedziela **Przewodnia.** Tymona M.
Poniedziałek Sulpicjusza i Serwiljana M. m.
Wtorek Anzelma B. W. D. K.
Środa Sotera i Kaja P. p. M. m.
Czwartek Wojciecha Biskupa M., Jerzego M.

*) Św. Rudolf urodził się w Bernie szwajcarskim. Dnia 17 kwietnia wykradli go Zydzi tajemnie rodzicom jego i wydali pewnemu Zydowi, który zamknął go w piwnicy i tam, jako chrześcijańskie dziecię, zamęczyć kazał z wyrafinowanym okrucieństwem. Wpadnięto na trop zbrodni i postanowiono pomścić krew niewinną. Po długiem śledztwie odszukano zwłoki dziecka w piwnicy. Uczestników zbrodni uwięziono głównych sprawców łamano kołem a współwinnych wypędzono z miasta. Uznało duchowieństwo, że niewinny chłopczyna poniósł śmierć męczeńską, więc należy mu się pogrzeb zaszczytny. Wsród wielkiego natłoku wiernych złożono zwłoki święte przed ołtarzem krzyża w kościele parafialnym. Przy tej okazji zaszło wiele cudownych uzdrowień za przyczyną świętego młodzianka. W roku 1430 zastąpiono stary kościół parafialny nowym, pięknym kościołem św. Wincentego. Przy przebudowie wydobyto zwłoki św. Rudolfa, złożono je w trumnie ołowianej i wystawiono na ołtarzu Krzyża ku czci publicznej. W roku 1528 odpadło Berno od kościoła rzymskiego. Relikwie św. Rudolfa zdjęto z ołtarza i pogrzebano w ziemi. Na obchodzenie pamiątki św. Rudolfa przeznaczył Kościół dzień 17 kwietnia.

X.***

W sprawie cukrowniczej

otrzymaliśmy następujące pismo:

Szanowny Panie Redaktorze!

Z okazji poruszenia w №№ 11 i 14 „Łowiczanina" sprawy plantacji buraków w naszej okolicy i w przekonaniu, że sprawa ta zainteresuje szerszy ogół czytelników, uprzejmie proszę o udzielenie w swym poczytnym wydawnictwie głosu niżej podpisanemu, który zagląda do ksiąg fabrycznych i zna bliżej stosunki cukrownicze w naszym kraju.

Dobroczynna działalność agientów pruskich cukrowni w naszym kraju, datuje się dopiero od 1911 roku, w którym wskutek nieurodzaju buraków w całej Europie, a w szczególności w Niemczech, produkcja cukru spadła do połowy zwykłej cyfry, cena cukru podskoczyła o 63% (z 14 marek do 18 marek za 100 kil.) cena wytłoków doszła do 25 kopiejek za centnar a melasu do 1 rubla.

Cukrownie niemieckie, sprzedające zwykle całą swą produkcję z góry, nie mogły wywiązać się ze swych zobowiązań względem kupców i weszły z niemi w układy o odroczenie dostaw cukru do roku następnego.

Zaszła konieczność powiększenia plantacji buraczanych. Obszar plantacji nie daje się w Niemczech z roku na rok rozszerzać, a przeciwnie przy stosowaniu w Poznańskim polityki kolonizacyjnej, przez wywłaszczanie majątków polskich i osadzanie pieszczonych przez rząd niemiecki kolonistów, z głębi Niemiec sprowadzanych, którzy z plantowaniem buraków nie są obeznani, obszar plantacji maleje. To też nie mając innej rady na wyjście z chwilowego kłopotu, a widząc doskonały dla siebie interes w sprowadzaniu droższych nawet buraków z poza granic państwa, fabrykanci pruscy rozesłali agientów do Królestwa w celu zakupu buraków. Cukrownie pruskie z ich zarządami są w rękach niemców, wrogo przeciwko polakom usposobionych, urzędników polaków nawet na podrzędniejszych stanowiskach nie trzymają, ale dla ściągnięcia buraków polskich, werbują agientów polaków, co im się zresztą sowicie opłaca.

Początkowo agienci pruscy płacili po 1 rb. 35 kop. za korzec na stacjach odnogi bydgoskiej, przy nader pobłażliwym odbiorze, później, gdy podaż plantacji wzrosła, ceny obniżyli, a fabryki potrącały na zanieczyszczenia po 40% z wagi.

Wobec zmiany frontu ze strony cukrowni pruskich, ochota do sprzedaży za granicę pomiędzy uświadomionemi rolnikami upadła i temu prawdopodobnie przypisać mogą gospodarze z Popowa zaszczyt widzenia u siebie nowego przyjaciela, którego, jak sami piszą, z radością przyjęli.

Za korzec z dostawą na wagony do stacji kolejowej otrzymali cenę 1 rb. 15 k.;

cukrownia Łyszkowice płaci gotówką 1 rubla za korzec, wartość dodatków w naturze (nasienie, wytłoki, koszty zaliczeń), tanio liczona, wynosi 20 kopiejek na korcu, a za odstawę, zamiast do składu w Łowiczu, do cukrowni dopłaca się jeszcze 15 kop., co razem wzięte czyni 1 r 35 k. za korzec, czyli o całe 10 kopiejek przekracza cenę, jaką według mniemania gospodarzy z Popowa *fabryka płacić może.*

Pomijając, narazie, względy, poruszone w № 11 „Łowiczanina", znaczenie których starają się wykrętnie osłabić w swej odpowiedzi gospodarze ze wsi Popowa, rachunek wykazuje, że interesu nie zrobili.

Bądź co bądź odezwa w № 14 „Łowiczanina" dowodzi, że choć po niewczasie, sumienie publiczne trochę się w Popowie poruszyło, co zanotować można, jako objaw dodatni.

Niesłusznym jest również twierdzenie gospodarzy z Popowa, *że fabryka co chce, to ze swojemi plantatorami robi i że powinni być wdzięczni pruskiemu polakowi za wyswobodzenie ich od przymusowego sadzenia buraków do Łyszkowic.*

Przedewszystkim nie znam wypadku, aby kiedykolwiek lub kogokolwiek mogła cukrownia zmusić do sadzenia buraków.

Co rok na wiosnę zawierają się kontrakty na buraki, o warunki obydwie strony dobrowolnie się umawiają i wstawia się całą masę paragrafów, zastrzeżeń sposobów sadzenia, odbioru, strony kontrakt podpisują przez marki stemplowe, ale warunki obowiązujące plantatorów, nigdy nie bywają ściśle dotrzymywane, a przypominanie tych obowiązków uważa się za kamień obrazy.

Jeżeli może być mowa o wyzyskiwaniu wogóle, to w naszej okolicy jako i dalszych mi znanych, przy chronicznym braku buraków i cichej konkurencji pomiędzy sąsiedniemi cukrowniami, stroną wyzyskującą położenie jest plantator, nie fabryka. Smutne to dla cukrowni, lecz prawdziwe.

Inną zupełnie jest rzeczą, dlaczego w naszych warunkach nie mogą cukrownie płacić za buraki ceny przez plantatorów żądanej i dlaczego cukrownie nasze nie mogą konkurować z przygodnemi cenami ościennych cukrowni pruskich. Od roku 1905, po pamiętnych strajkach ekonomicznych, ceny surowych materjałów do fabrykacji używanych jako i innych artykułów pomocniczych i robocizny, znacznie się podniosły, cena korca buraków wzrosła w tymże czasie o 10 do 15 kop. a ceny cukru normowane rok rocznie przez ministra finansów, stale bywają obniżane: od roku 1895 do 1913 obniżyło ministerjum cenę cukru o 75 k. na pudzie.

W normalnych warunkach zagranicą podrożenie produktów surowych wywołuje zwyżkę cen cukru, u nas cały ciężar spada na fabrykantów nie na konsumentów.

Cukrownie Królestwa Polskiego wytwarzają więcej cukru jak tego wymaga spożycie wewnątrz kraju, nadmiar musi być wywożony po za granice Królestwa: do Cesarstwa i zagranicę i słuszną redakcja zrobiła uwagę, że nie wywożenie surowych produktów, ale przeróbka ich na miejscu—kraj wzbogaca.

W okresie fabrykacyjnym 1912/13 roku, cukrownie Królestwa Polskiego wyrobiły cukru ogółem 13,171,815 pudów. Wywieziono do Cesarstwa 3,205,580 pudów, zagranicę 2,485,913 pud., sprzedano wewnątrz kraju 7,087,747 pudów.

Cukrownictwo, jak to przytoczone cyfry wykazują, jest bardzo poważną gałęzią przemysłu krajowego, a przytym ściśle związane z rolnictwem, dając ostatniemu wygodny rynek zbytu na rośliny okopowe, jakiemi są buraki cukrowe, a zatym i w interesie rolników nie leży świadome zamykanie sobie rynków cukrownianych.

Rozumiem to dokładnie, że i rolnikowi w równej mierze jak cukrownikowi zależeć powinno, aby jego praca i kapitał w ziemię czy fabrykę włożone dawały odpowiednie zyski.

Rolnicy w swej walce o zyski szli dotąd w kierunku najmniejszej odporności, to jest do kieszeni fabrykantów. Skoro jednak przy dzisiejszych warunkach ceny buraków wyżej śrubować się nie dadzą, możeby na czasie było pomyśleć o udoskonaleniu warsztatów pracy, co fabrykanci już poczynili na swoich i, zamiast wzajemnego zatruwania i tak krótkiego żywota, skierować całą energję w kierunku podniesienia plonów.

Kazimierz Cybulski.

Łyszkowice 9 kwietnia 1914 r.

W cichy wieczór kwietniowy.

Dla H. L. w Łowiczu.

Wieczorna cisza idzie z łąk
I srebrną rosą prószy...
Trzeba mi drogich Twoich rąk,
Trzeba mi twojej duszy...

Niech mi owiną szyję w krąg
Twe ręce jak powoje...
Wieczorna cisza idzie z łąk,
A serce tęskni moje...

Trzeba mi drogich Twoich rąk,
Trzeba mi twojej duszy...
Czeremchy mocno pachną w krąg,
Kwiat z białej leci gruszy.

A życie jest jak pierścień mąk,
A smutne życie moje,
Niech mi owiną szyję w krąg
Twe ręce jak powoje

Wieczorna cisza idzie z łąk...

J. Dobrzyński.

Nasielsk.

Książę Józef Poniatowski.

(Ciąg dalszy).

Francuz *Erckmann-Chatrian* pisze: „Ci najstraszniejsi żołnierze nie zwinęli chorągiewki w chwili niebezpieczeństwa, ale oddali nam do ostatniej chwili krople krwi swojej... A my — cóżeśmy zrobili dla ich nieszczęśliwego kraju?" — Sypie się zewsząd ze świstem śmierć roznoszący ołów na ową gromadkę nieustraszonych, rozrzedza ze wszech stron szeregi szarżujących zuchów z poza miasta przybywający pocisk działowy, wszędzie się krew polska leje potokiem. Pada, jak podcięty kwiat wiosenny, nieodżałowany Malczewski, co nadwiślańcom przewodniczył, Książę z pałaszem tylko w ręku, bo już z prochu i kul ogołoceni, opierają się mężnie nieprzyjacielowi, ani piędzi krwią własną zbroczonej ziemi, zabrać sobie niedozwalając. Trupem nieprzyjacielskim zaściela polski oręż pobojowisko. Wznoszą się coraz wyżej mogiły z nacierającego żołnierza usypane. Po raz ostatni ogląda światło dzienne każdy, ktokolwiek się odważy targnąć na polskich wiarusów. Nic jednak najwyższe męstwo Polaków dokazać nie zdoła. Zaledwie bowiem jednych pokonają, jakby z ziemi wyrastają świeży napastnicy. Poniatowski jednak szarżować nie przestaje. Nietylko już jako wódz, ale jako prosty żołnierz walczy z tyralierami nieprzyjaciół. Aż nakoniec styka się z francuskiem wojskiem, co w tyle pod tarczą Polaków spokojnie o swojem bezpieczeństwie przemyśliwało. Widzi wśród hufców nadsekwańskich Marszałków, przeznaczonych do wspólnej obrony Lipska, wybiega naprzeciw onychże, dla naradzenia się, co w tak stanowczej chwili czynić wypadało:

„Jakto? Wy uciekacie? Wy, zwycięzcy świata?
A więc pod Lipskiem spełzną tylu dzieł pamiątki?
. . . .
Francuzi! rękę tylko, będę ocalony!"

(Beranger)

„Nowy dał tu dowód nasz Poniatowski swojej wyższości i wielkości. Lubo bowiem tylekroć dowiódł, iż i w wojsku dowodzić i mężnie w boju spotykać się umie, nie wstydził się jednak naradzać z równymi sobie w stopniu... Poznawszy z obojętnych wyrazów do rady wezwanych Marszałków, iż w orężu wodza Polaków wszyscy ocalenia swego wyglądają, w sobie samym znalazł, o co się drugich ze skromnością dopytywał."

„Nacierać trzeba"—wyrzekł. „Nacierać" — „Śluzować się!" (ścieśniać się), powtarzali oficerowie, kiedy Książę zawoławszy na kilkunastu kierasjerów i krakusów: „dzieci, dalej za mną!" — na nieprzyjaciela się rzucił. Przed garstką cofają się straszne nieprzyjaciół zastępy. Bez wytchnienia Poniatowski ściga, otrzymuje po raz trzeci postrzał w rękę, lecz on ją owinąwszy chustką, na koniu pozostaje, niepomny, że krwią własną, co się z rany sączy, odbytą przez siebie drogę oznacza... Ocalił wprawdzie Książę Józef Marszałków i licznych Francuzów, ale za to przyspieszył własną zgubę.

Otaczający go sztab, generałowie — Grabowski, Małachowski i inni, wobec odwrotu przed przemagającemi siłami i niemożności dłuższej obrony, mniemając że wszystko już stracone, błagali Księcia aby złożył broń z swojem wojskiem i za przykładem Sasów, szczęście, sławę i los Polaków wspaniałomyślności Sprzymierzonych Monarchów powierzył, osobę swoją dla kraju zachował. Poniatowski miał oczy krwią nabiegłe, twarz nienaturalnym pałającą rumieńcem, znużony był, wyczerpany śmiertelnie, osłabiony od ran, zgorączkowany, nawpół nieprzytomny, — ale zdumiony taką propozycją ze strony podwładnych, nigdy niezachmurzone zmarszczył czoło i wyrzekł te wiekopomne słowa: „Bóg mi powierzył honor Ojczyzny, Jemu Samemu go oddam!" *(L. Tykiel)*

Poniatowski usunął się z 30 jeźdźcami do ogrodu Reichela i Reichenbacha, ciągnących się wzdłuż Pleissy, aby się stąd przedostać na drogę do Lindenau, gdyż nie mógł inaczej dojść do szosy randsztadtskiej. Ścigani przez Rossjan i Prusaków skupili się tam wszyscy w niepodobnym do opisania chaosie, chcąc dotrzeć do jedynego punktu ratunku, do mostu na Elstrze.

(d. n. c.) *Zenon.*

Łódź.

Zdawałoby się, że miasto w centrum ziem polskich położone, liczące 62% ludności polskiej, powinno i na zewnątrz nosić charakter polski. Smutne zaprzeczenie tego stanowi Łódź.

Przykrego wrażenia doznać musi każdy, kto na bruku łódzkim się znajdzie, szczególniej zaś, gdy to mu się po raz pierwszy zdarzyło. W centrum miasta słyszy się przeważnie żargon, język niemiecki lub po „luski" mówiących litwaków (ci, najgłośniej przytym krzyczą). Na ulicy, w tramwaju, czy w sklepie można być często zapytywanym w żargonie lub w jednym z tych języków, a na zapytanie po polsku, otrzymać w odpowiedzi zdziwienie i wzruszenie ramion.

A przecież na 510,000 ludności jest w Łodzi 320,641 polaków. Lecz ludność polska, w olbrzymiej swej większości, to robotnicy, zamieszkujący dzielnice uboższe. Główna dzielnica miasta zajęta jest przeważnie przez różne biura fabryczne i składy handlowe; tutaj też spotyka się tylko „lodzermensch'ów, zawsze spieszących, roztrącających przechodniów i nie uznających" nawet słowa „przepraszam".

Nie mam zamiaru kreślić tu całkowitego obrazu Łodzi.

W wielu wypadkach, jak brudny wygląd miasta i t. p. nie można winić bezwzględnie nikogo, wiemy bowiem na jaką bolączkę cierpią wszystkie nasze urządzenia miejskie. Przyznać też trzeba, że prasa łódzka i grono działaczy społecznych pracują gorliwie.

W niniejszym artykule pragnę poruszyć trzy napozór bardzo drobne sprawy, a jednak mające duży wpływ na zewnętrzny charakter miasta i świadczące dobitnie o duchu, panującym wśród jego obywateli. Są to sprawy tak drobne, jak tabliczki na domach z nazwiskami właścicieli, listy lokatorów i katalogi telefoniczne.

Trudno doprawdy zrozumieć, dlaczego obywatele łódzcy tak mało szanują język ojczysty. Oto, na wszystkich niemal domach, napisy te umieszczane są w jednym tylko języku urzędowym. Prawo nie stawia w tym względzie żadnych przeszkód, czego dowodem, że na niektórych domach (a w Warszawie i w innych miastach na wszystkich) są i napisy polskie. Fakt ten jest tym smutniejszy, że spotyka się tabliczki w jednym języku z nazwiskami czysto polskiemi, podczas gdy nazwiska wcale niepolskie — bywają w dwuch językach umieszczane. Oczywiście tabliczek tych jest niewiele, i bynajmniej nie można powiedzieć, aby obcy przybysze w Łodzi, język kraju w którym osiedli i z którego żyją—szanowali.

Wszystko to samo powiedzieć można odnośnie list lokatorów.

Podobnież rzecz się ma z katalogami telefonicznemi. Telefony łódzkie są siecią telefoniczną rządową, a więc abonentom rozdawane są tylko katalogi w języku rosyjskim. Oczywiście są w Łodzi i katalogi polskie, lecz za te trzeba płacić, więc trudno wymagać by „lodzermensch'e" je posiadali. Dlatego w wielu sklepach, biurach i t. p. niema katalogów polskich.

Prawdopodobnie przy szczegółowym zaznajamianiu się z Łodzią, można by znaleźć więcej faktów tego rodzaju, wystarczy nad temi zastanowić się głębiej, a przekonamy się, jak bardzo są smutne.

Gdyby niektóre pisma nasze, miast szerzyć waśń pomiędzy swemi, baczniejszą zwróciły uwagę na tę sprawę, kraj nasz zmieniłby powoli swój wygląd. Trzebaby więcej szanować język ojczysty i starać się, by centr przemysłu krajowego, krajowe piętno na sobie posiadał.

Wiesław Toporski.

Czemu?

J. A. Ł. z K.
wierszyk ten poświęcam.

Czemu mi tęskno, czemu mi smutno
I czemu biedna myśl ma mknie w dal,
Za jakimś szczęściem, za złudną marą,
Co pozostawia po sobie żal?..

Czemu ma dusza gdzieś się wyrywa
Hen, ponad ziemi ojczystej krąg,
Nic nie pamięta, o niczym nie wie
Nawet nie widzi tu ludzkich mąk...

Dlaczego inne młode dziewczęta
Wszystkim się cieszą, nie znają łzy,
A mnie tak smutno i zawsze tęskno
I pod powieką wciąż łza mi drży?

Czemu?.. Pytanie to wciąż mię dręczy
I różne wizje przed oczy śle..,
Ach! czy się znajdzie dusza prorocza
Co tę zagadkę wyjaśni mnie?..

Adnaw P.

KRONIKA MIEJSCOWA.

+ **Przekupnie.** Jeden z naszych znajomych, udając się po kupno zarybku do Łyszkowic, w piątek przed jarmarkiem, zauważył na szosie przed miastem for-

To i owo u nas.

Rzadko kiedy opuszczam mury miasta, którego jestem stałym mieszkańcem. Łowicz bowiem ma to do siebie, że kto w nim pomieszka lat kilkanaście z rzędu, ten nawskroś przesiąka tradycją wiejącą z murów tego prastarego grodu i pomału staje się zabytkiem przeszłości, którego rażą nowi ludzie, nowe urządzenia miast i nowe pojmowania spraw społecznych. Chętnie też, dla tych powodów, pozbywamy się aspiracji oglądania miejscowości, w których przejechać nas może tramwaj, a ruch kołowy, jest tak rozwinięty, że nawet dzieci nie mogą grać w klipę na ulicach, lub grzebać patykiem w rynsztoku.

Kiedy po kilkuletnim przebywaniu w Łowiczu zapragnąłem odwiedzić Warszawę, aby obejrzeć te nowe gmachy, nowe tramwaje i inne cuda o których donosiły gazety, przytrafił mi się wypadek, który na długo zraził mnie do odbywania podobnych podróży.

Kiedy stanąłem na bruku warszawskim, przedewszystkim zostałem ogłuszony hukiem i wrzaskiem, a ruch uliczny wprowadził mnie w osłupienie.

Począłem iść w stronę ogrodu Saskiego, a właściwie począłem czynić usiłowania pójścia w tym kierunku, w którą bowiem stronę skierowałem swe kroki, wszędzie stawałem oko w oko z jakimś osobnikiem, idącym w przeciwną stronę. Później zrozumiałem — że w Warszawie jest zwyczaj, iż przechodnie mijają się z prawej strony, ja zaś tak sobie po łowicku — gdzie wolne miejsce, tam waliłem. Nic więc dziwnego, że zaczęto mnie potrącać coraz częściej, aż wreszcie wytrącono z trotuaru na ulicę, pod dorożki. Szczęściem dorożkarz był dość przytomny i nie przejechał po mych szczątkach doczesnych, jeno im przyłożył tęgiego bata, wraz z życzeniami nic wspólnego nie mającemi z poprawieniem stanu mego zdrowia. Okoliczność ta jednak zmusiła mnie do szybkiego powrotu na trotuar, gdzie obrałem sobie miejsce pod drzewkiem, czekając sposobności, aby dalszą podróż odbyć tramwajem. Była to jesień, mrzył deszczyk już od rana, sprowadzając do duszy mej uczucie przygnębienia. Stałem tak dobre pół godziny, kiedy wreszcie wypadkowo, tramwaj zatrzymał się właśnie tuż przedemną.

Ucieszyłem się niezmiernie.

Skoczę tedy ochoczo — chwytam za antabę i stawiam nóżkę na stopniu—podług wszelkich zasad fizyki — podnoszę drugą i... tramwaik rusza. Do środka jednak dostać się nie mogłem, a to z tej przyczyny, że jak mnie objaśnił konduktor—należało uczepić się znów z prawej strony.

Gdy tedy rozmyślałem co mam czynić dalej, nadjeżdżająca z przeciwnej strony dorożka strąciła mnie ze stopnia tramwaju, jednak nie wydarła z rąk mych zbawczej antaby - co pozwoliło mi chwilkę biec za tramwajem. Fatum jednak jakieś prześladowało mnie dnia tego—po chwili bowiem nóżki me jakoś się poplątały i runąłem całą długością mej persony na ziemię, zdążywszy zaledwie chwycić się jedną ręką stopnia wagonu. Chwilkę tylko jeszcze korzystałem z usług tramwaju, który wprawdzie przybliżał mnie do celu, jednak ze znaczną krzywdą mej garderoby i brzucha, na którym podróż tę odbywałem.

I Bóg wie jak daleko zajechałbym w ten sposób, gdyby nadjeżdżająca właśnie dorożka nie przycisnęła kołami mej garderoby i nie sprawiła, żem się na dobre oberwał od tramwaju i przestał wreszcie korzystać z jego usług, przyczym wykonałem na ziemi kilka obrotów całą długością ciała swego i spocząłem bez ruchu, wpatrzony w rozpłakane niebo.

Po chwili ujrzałem nad sobą badawcze spojrzenie, przyozdobione z wierzchu w urzędową czapkę, jaką i na ulicach Łowicza często spotykamy.

— *„Ty szto, pian?!"* — spytano mnie w grzecznej formie.

— „Nie... ja jestem proszę pana z Łowicza" — odpowiedziałem również grzecznie.

— *„Tak wstawaj, i pakaży pasport!.."* brzmiał już głos rozkazujący.

Paszport miałem w porządku. Wstałem przeto i złożyłem w ręce „stojącego" pana dowód przynależności mej do Imperjum Rosyjskiego.

Kiedy stójkowy obejrzał paszport mój i znalazł go w porządku, oświadczyłem: iż miałem wypadek, mam pieniądze i chciałbym wracać do Łowicza, a nie wiem którędy.

Zawołał posłańca i powierzył mnie jego opiece. Ten to posłaniec ułatwił mi w zupełności powrót do Łowicza, przyprowadziwszy uprzednio garderobę moją do porządku w pokoju męskim na stacji Dr. Żel., gdzie na samo wyschnięcie i wykruszenie się z błota, straciłem 6 godzin.

Nic dziwnego, że po takim przejściu mniej chętnie wyjeżdżam z Łowicza i ograniczam się zaledwie do robienia wy-

malny targ. Tuż przy kapliczce vis à vis Giermana Kołaszyńskiego, stała fura żydowska obok której uwijało się kilku przekupniów zatrzymujących wozy włościańskie; dalej o 10 sążni następna, dalej jeszcze jedna, ostatnia była aż we wsi Jamno, gdzie kupno odbywało się hurtem. Na ziemi w skrzyniach było kilkadziesiąt kóp jaj, cielęta, gęsi i t. p. W obec powyższego, dziwić się nie można, że w mieście tak trudno jest kupić cośkolwiek, gdy włościanie już z próżnemi wozami przyjeżdżają.

+ **Teatr ludowy.** Młodzież z Bochenia zorganizowała kółko amatorskie i w niedalekiej przyszłości zamierza w Łowiczu odegrać komedję ludową w 3 aktach p. t. „Jaśkowe zamysły" Domosławy. Projektowi temu przyklasnąć należy, że młódź Bocheńska zamiast spędzać czas wolny na pijaństwie, plotkach i bezczynności— tak pożytecznie się zabawia.

+ **Przestroga dla rodziców i ich dzieci.** Czternastoletni Juljan Wolny, syn Kazimierza, gospodarza ze wsi Woli Wiewieckiej w powiecie Nowo Radomskim, w dniu 30 z. m. w Brzeźnicy, kupił sobie *siarki i "cali chloricum"*. Gdy powrócił do domu, nie poradziwszy się starszych, wsypał takowe do moździerza żelaznego i chciał utłuc, ażeby przygotować sobie proszki do strzelania podczas rezurekcji. Nieszczęśliwy chłopiec nie przewidział co sobie przygotowuje: przy tłuczeniu nastąpił wybuch gwałtowny. Na odgłos huku przybieżał ojciec, straszny widok przedstawił się oczom jego, na ziemi leżał syn wijący się w bólach, jedną rękę miał oderwaną, drugą poszarpaną w strzępy, wnętrzności porwane tak, że aż wyszły na wierzch. Dowiedziawszy się o tym wypadku nieszczęśliwym, przybiegł ksiądz Proboszcz z Wiewca, robił co mógł, ale uratować chłopca nie było w jego mocy, wyspowiadał go i w krótce po wybuchu, rodzice zamiast syna rosnącego na ich pociechę, mieli pod swą strzechą trupa, zamiast radości, rozpacz, a zamiast *niepotrzebnych* strzelanin, huków, o których zaprzestanie napróżno proszą kapłani, czasopisma, ludzie poważni, nawołując — dzieci! zaprzestańcie, bo się źle bawicie, biły im teraz dzwony, otworzyła się mogiła i w niej pogrzebiono rezolutnego Juliana, który już był pomocą w pracy około ziemi i inwentarza.

W Warszawie przewieziono do szpitala Dzieciątka Jezus chłopca z oparzonemi wybuchem *„cali chloricum"* rękami i twarzą.

W Łodzi na ulicy Łagiewnickiej, syn robotnika, szesnostoletni Antoni Serkowski strzelając na ulicy z *„cali chloricum"*, wypalił sobie oczy. *Karol Makowski.*

+ **Pod adresem stowarzyszeń pieniężnych.** Świeżo zawiązane stowarzyszenie „Ciułacze," pragnąc zgromadzić wszelkie materjały, dotyczące propagandy oszczędności przez stowarzyszenie pieniężne, zwraca się do zarządów tych stowarzyszeń, które działalność taką już prowadzą, z gorącą prośbą, o nadesłanie stosowanych u siebie wzorów druków, odezw i t. p., a także krótkich sprawozdań z prac w tym zakresie, pod adresem Zarządu Stow. „Ciułacze," ul. Chmielna № 13.

+ **Wycieczka na Litwę.** Centralne Towarzystwo Rolnicze zawiadamia, że program wycieczki na Litwę został już w ogólnych zarysach opracowany i przedstawia się jak następuje.

Wyjazd z Warszawy dnia 2 czerwca o godzinie 9 wieczór do Grodna, stąd końmi do Świacka, majątku pp.: Górskich, w celu obejrzenia obory, melioracji łąk, oraz fabryki syropu ziemniaczanego. Po przenocowaniu w Świacku podróż pociągiem do Suwałk i tegoż samego dnia zwiedzenie kilku włościańskich gospodarstw podmiejskich. Trzeciego dnia zwiedzenie pokazu koni w Suwałkach, a po południu jazda koleją do majątku Maćki pp.: Świdów, w celu obejrzenia wzorowo zmeliorowanych łąk torfiastych. Po przenocowaniu w Maćkach jazda do majątków Szestaków i Promież pp. Wodzyńskich, w celu obejrzenia przeciętnych, typowych gospodarstw Suwalskich; stamtąd do majątku Szaltupie p. Giejsztora, skąd na drugi dzień (niedziela) do Kowna. Z Kowna projektowane są dwie wycieczki; jedna Niemnem do Welony w celu obejrzenia robót związanych z komasacją, a druga do Bejsagoły, gdzie prócz stacji doświadczalnej *zwiedzimy kilka* gospodarstw włościańskich. Powrót do Warszawy przez Wilno.

Dzięki uprzejmości miejscowych obywateli, którzy w wielu razach ofiarowali noclegi i konie, koszty podróży będą prawdopodobnie mniejsze od naznaczonych. *Zapisy przyjmuje Biuro Wydziału Kółek C. T. R. Erywańska 16.*

+ **Operetka w Łowiczu** w teatrze miejscowym. We wtorek i w środę dnia 21 i 22 kwietnia r. b. odbędą się dwa przedstawienia operetkowe na czele z p. M. Marjewską, art. warszawsk. rząd. teatru „Nowości", Romualdem Gierasińskim i innemi. Bilety wcześniej nabywać można w księgarni K. Rybackiego.

+ **Z teatru amatorskiego.** W drugi dzień świąt Wielkiejnocy w Stowarzyszeniu Robotników Chrześcijańskich amatorzy składnie odegrali komedję Al. hr. Fredry „Co tu kłopotu" i komedję w 1 akcie „Dwuch głuchych" Wszyscy amatorzy dzielnie się wywiązali z zadania. Z młodziutkich *sił na wyróżnienie zasłu-*

---

cieczek do muzeum p. Tarczyńskiego, lub na fabrykę chemiczną, ale i to tylko kupą, pod opieką miejscowego Oddziału T-wa Krajoznawczego. Tu bowiem, to przynajmniej wiem jak się chodzi i gdzie się chodzi.

A już np. w takim Sochaczewie — zdechł pies. Przyjedziesz i ani rusz nie wiesz, gdzie się można czego napić, zjeść co, lub t. p. Bo chociaż są tam jakieś ruiny, jakieś malownicze miejscowości, ale to wszystko zawracanie. Jak się człowiek dobrze naje, a w dodatku łyknie trzy wódeczki i cztery piwka, to wszędzie robi się człowiekowi malowniczo.

Inaczej sądzi mój stary przyjaciel p. Djonizy Zwilżygęba, zamieszkały w Włocławku, który jest takim amatorem podróżowania, jak np. Zarząd naszego T-wa Wzajemnego Kredytu. Od tego to Dyzia Zwilżygęby otrzymałem w sobotę depeszę tej treści: „Walemy do was na święta, Dyzio".

Masz tobie, myślę sobie — „Walemy!"— Dyzio, naturalnie przywiezie i swoją rodzinę, a tu żona moja niezbyt dostatnio zaopatrzyła stół na święta i będzie pewnie niezbyt zadowoloną z gości. Poszedłem jej to zakomunikować—ucieszyła się niezmiernie i powiada: „żeby ich wszyscy djabli wzięli!" poczym zakrzątnęła się około „godnego wystąpienia", a ja pobiegłem na stację po „miłych gości", jako że był już wielki czas.

Na salę, naturalnie, ani rusz dotłoczyć się — wszędzie pełno odprowadzających i przyprowadzających (wyjeżdżający zwykle czekają przed dworcem).

Zahuczało—zaryczało, zrobił się wielki ruch.. czekam dobre 10 minut i oczom moim ukazuje się kochany Dyzio — mężczyzna lat około 40, trochę siwy... trochę łysy, a nadewszystko gruby. Wpadliśmy sobie w objęcia o ile na to pozwoliły nasze przednie zaokrąglenia... Chlast, chlast gębą po powietrzu—pytam o małżonkę?.. A jest, jest odpowiada Dyzio—i wszystkie dzieciaki też. Chciałem ci zrobić przyjemność, byś poznał i latorośle przyjaciela swego, — tedy zabrałem cały kram... i jesteśmy.

Po chwili wypłynęła przez drzwi dworca modrooka, 32 letnia pani Zwilżygębina, prowadząc za rączki 6 letniego chłopczyka i 4 letnią dziewczynkę. Za nią hoża kujawianka dźwigała jakiś tłomok, w którym jak się później okazało, ukryta była jeszcze jedna najświeższa latorośl państwa Zwilżygębów, 2 letnia Irena Zwilżygębianka, pogrążona we śnie.

Po ucałowaniu rękawiczek koloru „tango" pani Zwilżygębiny, która ze swej strony zmusiła dzieci do wykonania pewnych ruchów nogami, na znak powitania mej persony, prosiłem całą szanowną rodzinę, aby zajęła miejsce w dorożce, uprzednio przezemnie zamówionej.

Proszę, siadajcie państwo—rzekłem robiąc wymowny giest w stronę, gdzie stała dorożka.

Tu w oczach państwa Zwilżygębów spostrzegłem wyraz pewnego rodzaju zdziwienia, a mały Zbyszko. to nawet drwiąco wysunął język.

Ależ pomieścimy się rzekłem—ja bowiem z małżonkiem Szanownej Pani pójdę pieszo—obejrzymy miasto...

Nawet i ten argument nie usunął wyrazu zdziwienia z oczu mych miłych gości. zaś mały Zbyszko palnął w moją stronę: „to niech pan sobie sam siada na bluku".

Podczas kiedy Szanowna mama karciła Zbyszka za niestosowne zachowanie się, ja spojrzałem w kierunku wymownego giestu swego i odrazu zrozumiałem o co chodzi. Widocznie dorożkarzowi trafił się kurs korzystniejszy, ruszył przeto z kopyta, zabierając innego pasażera— a mnie wprawiając w zakłopotanie, które powiększyło się z chwilą, gdym ujrzał, że i reszta dorożek już odjechała.

Począłem bąkać coś pod nosem i tłumaczyć państwu Zwilżygębostwu, że w Łowiczu dorożkarze nie koniecznie mają obowiązek wieźć tych, kto ich zamówił, że u nas pod tym względem istnieje tradycja stopniowania ludzi według ich stanowisk, że przeto dorożkarz zajmujący wysokie stanowisko na koźle dorożki, ma prawo wybierać pasażerów stojących na ziemi, a nie stojący na ziemi pasażerowie—wysoko posadzonego dorożkarza.

U nas nawet złodziej na stanowisku cieszy się szacunkiem poczciwców bez stanowiska i ma zawsze przewagę nad temi, którzy tego stanowiska nie posiadają.

Pomimo tego tłomaczenia zasad, jakiemi kierują się mieszkańcy Łowicza w życiu codziennym, zakłopotanie moje znikło dopiero z chwilą, gdym usłyszał słodki mezzo sopran pani Urszuli Zwilżygębiny.

— No, nic nie szkodzi, przejdziemy się wszyscy, jestem również bardzo ciekawa poznać miasto, o którym tyle słyszałam. Podobno lud miejscowy nosi stroje o bajecznych kolorach, wśród których przeważa kolor „tango". To jest wprost zdumiewające, aby lud prosty tak ściśle stosował się do mody.

guje młodsza panna Rembowska, z której scena amatorska mieć będzie zdolną wykonawczynię.

Odznaczenie. Rodak nasz i mieszkaniec Łowicza, młody artysta-malarz p. Zenon Nowakowski, używający pseudonimu „Zenon“, przebywający na studjach w Paryżu, zwrócił na siebie uwagę krytyki paryskiej pracami swemi, wystawionemi w Salonie. „Mont joie“ pisze: „Prace p. Zenona, artysty polskiego, odznaczają się swobodą uwalniającą sztukę z krępujących ją więzów i dążeniem do opanowania kolorytu“. Zaś „Radical“ pisze, że p. Zenon wystawił kąpiącą się na tle pejzażu o głębokiej wodzie, w pełni powietrznego pochmurnego tła. Rzecz traktowana bardzo głęboko i nadzwyczaj dekoracyjna. W obec szerszego zainteresowania się pracami naszego rodaka, Związek międzynarodowy plastyków i literatów zaliczył go w poczet swoich członków. Do związku tego należą najwybitniejsze imiona wszystkich krajów, jak Gabriel d'Annunzio, Bartholome, Henryk Breuil, M-me de Broutelles, Anatole France, Gustave Geffroy, Rudyard Kipling, Paul et Victor Margueritte, Raoul Pugno, Paweł ks. Trubeckoj i wielu innych. My ze swej strony zasyłamy rodakowi naszemu życzenia dalszej owocnej pracy.

+ **Niezdrowa konkurencja.** Wychodzące od kilku miesięcy w Łowiczu pismo czyniło nam zarzuty, iż ubolewamy nad zakładaniem konkurencyjnych sklepów polskich, które znakomicie się rozwijają jak sklep p. Czarneckiego i Cukiernie. Podobne wiadomości wprowadzają jedynie w błąd ludzi nieznających stosunków miejscowych. W ubiegłym tygodniu sklep p. Czarneckiego, po półrocznym istnieniu został zamknięty — narażając właściciela na stratę całego wyłożonego kapitału. Również właściciel domu przy ul. Podrzecznej, gdzie mieści się cukiernia, ogłosił, iż lokal po cukierni jest do wynajęcia.

Ruch względem unarodowienia naszego handlu i przemysłu, znajduje w nas zawsze gorliwych zwolenników i w miarę możności naszej staraliśmy się go popierać i popieramy. Również i współzawodnictwo kupców i przemysłowców naszych—jako pobudzające nas do doskonalenia się w tym kierunku, zawsze uznawać będziemy za pożądane.

Jeżeli zabieraliśmy kiedykolwiek głos w sprawie „niezdrowej konkurencji“, to mieliśmy na myśli te tylko jednostki, które — drogą nieuczciwą starały się zwalczać swych konkurentów, a hasel społecznych używały jedynie dla swych osobistych korzyści.

Z chwilą pojawienia się na bruku Łowickim tych pseudo kupców i przemysłowców, rozpoczęło się reklamowanie nawet w prasie warszawskiej jednych, a oczernianie innych, stojących im na drodze do szybkiego robienia majątku.

Co zaś do pisma, czyniącego nam podobne zarzuty—to opinja jego nie może być dla nas miarodajną, bowiem pismo to powstało jedynie w celu załatwienia z nami osobistych porachunków. Każdemu znającemu stosunki miejscowe, śmiesznym się wydało zakładanie pisma w Łowiczu, a cóż dopiero, kiedy zjawiło się drugie—któremu pozostało tylko w sprawach lokalnych przelewanie z próżnego w puste, a zaś w sprawach ogólnych — przeżuwanie cudzych myśli.

Skrzynka do listów.

Szanowny Panie Redaktorze!

Prosiłbym Sz. Pana o umieszczenie na szpaltach swego „Łowiczanina“, że na ulicy Podrzecznej nieokrzesani i bez wychowania chłopcy zaczepiają spacerującą publikę. Niechcąc rodzicom tych młodzieńców robić przykrości, na razie ograniczę się tylko do wymienienia pierwszych liter ich nazwisk, bez imion: M. K. T. S. K. S. G. L. Z. O ile to nie poskutkuje i młodzieńcy nie będą zachowywać się przyzwoicie, wymienię całkowite nazwiska.

Widz.

Kilka słów odpowiedzi na list wieśniaków z Popowa.

Na umieszczony w imię bezstronności w № 14 „Łowiczanina“ list wieśniaków z Popowa w sprawie „cukrowni udziałowej“ oraz „bałamuctwa pruskie“, chcę tutaj w krótkości odpowiedzieć, bo przyznaję, przykro mi się zrobiło czytając te myśli chłopa polskiego, tak przez nas dotychczas idealizowanego. Dziwne doprawdy, gdzie w chwili pisania wyżej wspomnianego listu, ukrył się ten zdrowy, chłopski rozum i duma narodowa, którą naród nasz się odznacza. Zachciało się p. Zakrzewskiemu dawać nauki o patrjotyzmie, lecz zapomniał o tym, że nie w tym leży jego istota, by p. Z. z Popowa lub kilku z nim podpisanych gospodarzy otrzymało więcej kopiejek za buraki swoje, lecz w tym, by **naród** zdobywał coraz więcej siły zarówno duchowej jak i materjalnej, by zyskiwał nowe pola pracy, by nie potrzebował synów swoich na poniewierkę i nędzę wysyłać z kraju za zarobkiem.

Jeżeli p. Z. chce lepiej trochę poznać się z tym co prusacy nam dobrego zrobili, niech daleko nie szukając przeczyta w tym samym № „Łowiczanina“ gdzie jego list został umieszczony, wzmiankę z polityki pruskiej o wypędzaniu dzieci polskich z kościoła katolickiego w Berli-

---

— A tak, łaskawa pani, nawet księżanki to też mają nogi gołe prawie do kolan, tylko że sukieneczki noszą cokolwiek szersze od tych, które ogólnie uważane bywają za modne. Chociaż i pod tym względem moda, w ostatnich czasach, skłania się bardziej do wzorów noszonych przez nasze księżanki. Naprzykład wczoraj widziałem pannę S. której suknia od bioder tworzyła coś w rodzaju krótkiej kolorowej spódniczki, jeżeli zatym dojdzie do tego; że spódniczka ta będzie sięgać w przyszłości do kolan, to ta druga wązka, tamująca dziś ruchy nóg, zpewnością będzie usunięta i wtedy strój pań stanie się zupełnie podobnym do stroju naszych księżanek. Tylko nie wiem jak to będzie z temi nogami—które przy strojach księżackich muszą być pewnej określonej grubości—zbyt cienkie bowiem, robią wrażenie mniej pociągające.

Tu uznał za stosowne wtrącić się do rozmowy kochany Dyzio, którego lubiłem za to, że był prawdomówny, aczkolwiek trochę rubaszny.

— O! co do tego, to moja baba panie święty, może zawstydzić nie jedną księżankę — popatrz tylko na ten początek (tu wskazał na małe wycięcie u sukni swej małżonki, przez które wyglądała mocno zaokrąglona, zgrabna nóżka w pończoszce koloru „tango“, obuta w wysokie pantofelki, wycięte z przodu i przesznurowane białą taśmą). Możesz sobie wyobrazić co tam dalej być musi!...

Podczas kiedy wyobrażałem sobie — zapłoniona p. Urszula, poczęła swym słodkim głosem strofować małżonka za niestosowne uwagi.

Ruszyliśmy tedy pieszo w następującym porządku:

Otwierał pochód Dyzio—za nim niańka niosła śpiącą Irkę, poczym szedł Zbyszko z Danusią, a w końcu p. Urszula, wsparta na mym ramieniu, napełniała otaczającą nas atmosferę cudownym zapachem perfum „tango“.

— Co to, teraz dopiero zamiatają?! ależ to barbarzyństwo! to zaraza!—rzekł Dyizo.

— A co ty myślałeś, że u nas się nie zamiata?! Oho, co do tego, to możemy być przykładem dla innych miast,—odrzekłem z dumą. U nas zamiata się o każdej dnia porze... Każdy przyjezdny musi widzieć jak dbamy o porządek w naszym mieście.

— Ależ tak na sucho?! Przecież te tumany kurzu osiadają na naszych ubraniach—płucach etc. powodując choroby!

— No trudno, deszcz nie zawsze pada—kanalizacji zaś dotąd jeszcze nie mamy, aby ulice przed zamiataniem polewać...

— Ależ nie oto chodzi—przecież zamiatanie może się odbywać rano, nim rozpocznie się ruch na ulicach...

— Rano?! — ależ rano to ludzie śpią, lub mają inne zajęcie, po ukończeniu których mogą się dopiero oddawać przyjemności zamiatania ulic...

— Patrz Dyziu, co za cudowną panoramę tworzy ta ulica z widokiem na ów wspaniały kościół — zauważyła pani Urszula.

W tym rozdarł powietrze straszny huk... jakieś ciepłe ramiona objęły mą szyję, a nos mój, jakoby kto włożył w perfumy „tango“. Rozległy się krzyki: ach! och! na różne tony i płacz dziecka...

Kiedy odjąłem opasujące szyję mą ramiona, ujrzałem Irkę na ziemi, Zbyszka i Danusię zmykających w stronę kolei. Dyzia i niańkę zamienionych w słup soli, a nadewszystko czułem ciężar zwieszającej się u mych ramion — nawpół omdlałej p. Urszuli.

Pospieszyłem z wyjaśnieniem — że to chłopcy wiwatują „kaliflorkiem“ na znak radości, z powodu świąt Wielkiej nocy — i że te strzały odbywać się będą co moment, bowiem chłopców tych jest bardzo dużo, a zapasy cali chloricum w miejscowych aptekach i składach aptecznych są niewyczerpane.

Po tym wyjaśnieniu, pani Urszula oświadczyła stanowczo, że dalej nie idzie, że pragnie w tej chwili wracać do domu, że ma zbyt słabe nerwy, aby mogła przebywać w tych warunkach choć kilka godzin. Dyziowi również wyciągnęła się mina, jakkolwiek był to chłop odważny. I on zrezygnował z pobytu w Łowiczu, obiecując przyjechać w innej porze. Co do dzieci, te znikły nam z oczu, z wyjątkiem „upadłej“ Irki, której rzewny płacz wzruszał serce me do głębi.

Nie było rady — wróciliśmy na stację gdzie już oczekiwały wystraszone dzieciaki. Z płaczem rzuciły się w objęcia rodziców — spoglądając na mnie z ukosa jak na bandytę-bombistę.

Doczekaliśmy się pociągu, prawie nie rozmawiając ze sobą. Byłem struty i zawstydzony. Przepraszali mnie bardzo siadając do wagonu, za zawód jaki sprawili mej żonie — ja zaś ze swej strony przeprzepraszałem ich za niestosowny zwyczaj mieszkańców miasta, który pozbawił mnie przyjemności goszczenia w domu swym przyjaciół i napawania się przez czas dłuższy zapachem perfum „tango“.

Władysław Bełwicz.

nie za to, że przygotowane były do Komunji Św. po polsku;—może to go otrzeźwi i może otrząśnie się z sympatji i wiary w życzliwość prusaków dla nas. Pies bity liże czasem rękę która go bije, ale żeby ludzie to mieli robić... dopiero tego chce nas nauczyć p. Zakrzewski, wierzmy, że to mu się nie uda i że to co napisał, zrobił pod wpływem agienta pruskiego, bądź to prusaka, bądź to człowieka o polskim nazwisku, lecz nie polskiej duszy.

Rzeczowe i spokojne wyjaśnienia p. Cybulskiego należycie oświetlają sprawę, a powyższe kilka słów niech starczy za radę na przyszłość p. Z.—żeby obłudnych i *na własne zyski* obliczonych przyjacielskich rad panów agientów, nie słuchał.

E. Nowakowski.

Ojciec przyczyną niedołęstwa dzieci.

Pytam was, kochana Redakcjo, abyś raczyła odpowiedzieć, czy ja miałem rację zapytać się na Kursach rolniczych p. doktora, czy ojciec może być zabójcą dla swych własnych dzieci.

Było to w Łowiczu 20 lutego w piątek na Kursach rolniczych. Ludu było jakie 300 osób. P. doktór Chmieliński miał pogadankę o zakaźnych chorobach, wyraźniej o zaraźliwych chorobach. A tak p. doktór zrozumiale mówił, lud tak pilnie słuchał i tak cichutko się zachowywał, boć tu szło o życie i śmierć. Ale uważajcie dalej. Pan Joachimek ze Zduńskiej parafji, ze wsi Urzecze, który był 9 lat wójtem, robił doktorowi zapytania, na które dostał odpowiedź. Czy pytania były mądre, w to ja nie wchodzę, ale mówili mi drudzy, że p. doktora chciał podchwycić, ale trudno i darmo.

Nareszcie przyszła i mnie myśl, abym zapytanie zrobił, gorąco mi się zrobiło, pytać czy nie pytać, serce mi bije jak dzwon. Co robić? Ale myślę sobie: kto pyta ten nie błądzi, poprosiłem o głos i mówię tak: proszę abyście się nie zgorszyli; jeżeli mąż przyjedzie do Łowicza i upije się, wraca do domu pijany i gdy po pewnym czasie niemowlę przychodzi na świat, czy ono jest zdrowe, takie jakie być powinno? P. doktór Chmieliński bardzo się uradował i mówił, że to jest pytanie wielkiej wagi i odpowiedział, że takie dziecko nie jest zdrowe i całe swoje życie zdrowym być nie może. Później p. doktór Twarowski, prezes Towarzystwa Rolniczego, też zabrał głos i dowodził rozmaite przykłady, że takie dziecko podlega rozmaitym chorobom, uważajcie no dalej, pot z włosów iść zaprzestał, serce bić ustało, bom odpowiedź dostał doskonałą. Aż tu słyszę głos p. Joachimka z Urzecza, podchwyca mnie i mówi: niepodobna, żeby Golis do tej pory jeszcze nie wiedział tego, o co się pyta.

Ja mu na to: jakkolwiek wiem o tym, lecz nie jestem pewny, żonaty jestem dopiero pół roku, tom się już spóźnił z zapytaniem. Ale pytałem nie tylko dla siebie ale i dla drugich, bo dla siebie, to bym poszedł do mieszkania p. doktora i zapytał.

Dalej p. Joachimek z Urzecza zarzuca, że zaduża publika, a ja o takie rzeczy pytam. Właśnie szukałem naumyślnie dużej publiki, aby pożytek odpowiedzi był większy.

Dalej p. Joachimek z Urzecza czyni uwagę, że tu są niedorostki, a Golis o takie rzeczy pyta. Panie wójcie, wstydzimy się niedorostków gdy idzie o zdrowie narodu, ale gdy się z nas który upije to niedorostków się nie wstydzi. A wreszcie bywałem na kursach może więcej razy niż wy w gminie, kiedy byliście wójtem 9 lat, a niedorostków nigdy nie widziałem. Panie wójcie! ja was na zebraniach rolniczych i na kursach widuję dopiero w latosim roku, a ja już bywam przez 9 lat. Wy wójcie pewnie nie wiecie, że my na kursach uczymy się jak chować krowy, świnie, kury, to też tym bardziej trzeba się uczyć jak chować dzieci i jak się zachowywać względem nich póki na świat jeszcze nie przyszły, bo Pan Bóg nie będzie pytał czyś zdrowe cielaki wychował, a pytać będzie czyś zdrowe dzieci wychował. Tak bracie chłopie. Dalej wójcie wam odpowiem, mogły być tam i niedorostki, ja ich nie widziałem. Ale gdybym był widział, to to samo zapytanie bym zrobił, nie zważając na niedorostków bo 10-cio letnich napewno nie było, a 16—i 17 letni gdyby byli, to przy nich już można mówić. Czy Wy wójcie myślicie że dziś ci 16-letni tak mało wiedzą jak wy, gdyście mieli lat 16-cie? o nie, teraz inaczej ma się rzecz na świecie. Co prawda, może p. wójtowi chodziło o kobiety, wiem że były i kobiety, owszem, potrzebne były i kobiety, żeby to moje zapytanie słyszały i do pytania się zastosowały.

Śmiało mogę powiedzieć, że najwięcej kobiety mogą przeciwdziałać: czy to podczas wesela, chrzcin i rozmaitych zabaw, gdzie pijaństwo na pierwszym planie. A naszym obowiązkiem jest ostrzegać innych i przekonywać ich, że tak czynić nie trzeba, bo dziecko jak urośnie i zrozumie dlaczego ono nie takim jest jakim być powinno, to ci ojcze może robić wyrzuty. Oj! ojcze, ojcze! Oj matko! matko! dzieciaka to nie prosiaka chować, bo prosię to można zabić. Tak, widzicie p. Joachimku, z jednego zapytania do czego dochodzi, ale naszym dzieciom to jedynie pożytek przynieść może.

Książak *Jan Golis.*

KORESPONDENCJE.

Gombin w powiecie Gostyńskim, miasto odległe od Stacji Dr. Żel. W. W. wiorst 24, od Dobrzykowa nad Wisłą wiorst 8 po doskonałej szosie. Ludności Gombin posiada około 9,000. Otoczony dokoła miejskiemi lasami, około 100 włók obszaru, uroczą przedstawia miejscowość, to też żydzi w pełni korzystają z tego i rokrocznie urządzają tam sobie letnie mieszkania, gdyż lasy prawie wszystkie są na piasku. Dowóz żywności jest bardzo obfity i tańszy jak gdzieindziej. Okoliczni koloniści, tak zwani Holendrzy, są bardzo bogaci. niewygodną jest jedynie komunikacja, gdyż karetki chodzą tylko żydowskie. Chodzi i pocztowa, lecz dzierżawiona przez żyda, a wiadomo, że żydzi na 4 miejsca zabierają 6 pasażerów, i jeszcze na budzie i na koźle drugie sześć i to wszystko ciągną dwie marne szkapy. Przedsiębiorca chrześcijanin miałby tu niezłe utrzymanie. Szkół elementarnych jest w mieście 6 i jedna szkoła 4 klasowa miejska. Mieszkańcy tylko narzekają, że zarząd szkoły 4-klasowej—w gorliwości swojej wprowadził czas petersburski—co równa się zniesieniu polskiego języka, lekcje którego powinny się odbywać o godzinie 8, gdy tymczasem rozpoczynają się o 7-ej min. 25, co zwłaszcza w porze zimowej, dla dzieci jest nadzwyczaj przykrym.

Gombiniak.

BZDURNE

mojej wycieczki przygody, smutnym ku zasmuceniu, wesołym ku rozweseleniu, zaś sobie dla zabawy — opisane.

(Ciąg dalszy).

Otóż jak wyżej rzekłem, łaziłem po mieście tu i tam, rozmyślając nad sprawami tego świata; wtym ktoś mnie złapał za kapotę; oglądam się, a tu przekupka, w najwyszukańszy sposób zachwala swe owoce: jaknajuprzejmiej zaprasza mnie, abym tylko skosztować i przekonać się raczył, że ona rzeczywiście ma najlepsze i najpiękniejsze owoce jakie tylko gdzie w świecie znaleźć i podziwiać można. Nie jestem pomologiem i nie wiele znam się na owocach. Zwróciłem tylko uwagę na grube warstwy pyłu, który nawet pod przykrycie się przedostał i rozsiadł się na owocach jak gospodarz w swym dziedzicznym majątku, czekając z legjonami najprzeróżniejszych zarazków na spożywcę. Gdym na to zwrócił uwagę, przekupka zaprowadziła mnie tuż obok do składu owoców. Tam wybrałem i kupiłem parę funtów śliwek. Nie tak pilnie kot czeka na wyjście myszki z dziury, nie tak pilnie chłop z łopatą czatuje na poruszenie się w ziemi kreta, jak czekano na mnie u wyjścia przed składem. Bo zaledwie wyszedłem i nie zdążyłem jeszcze zrobić kroku, gdy zjawił się właściciel najpiękniejszej karety i najwytrwalszych koni i ofiarował mi swoje usługi, podejmując się za bardzo niską opłatę odwieźć mnie *zaraz* do Piotrkowa. I skąd on mógł wiedzieć, że ja właśnie chciałem jechać do Piotrkowa? Nie wiedział, a odgadł; sprytny jest. A może dla tego, że chciał uwolnić Bełchatów od mojej osoby? Któż zgadnie? Ale mniejsza oto; dosyć, że czas już naglił do powrotu i coraz obfitszy deszcz, który, aczkolwiek drobny, mżył nieustannie, nie pozwalał na dalszą włóczęgę.

Poszedłem tedy za owym panem. Szedł on przedemną szybko, nerwowo, był ubrany w niezmiernie długie palto koloru ulicznego błota, a krojem przypominające worek na ziemniaki. Zaś na twarzy miał taki zarost, jakgdyby conajmniej od pięćdziesięciu lat wcale się nie golił. Przytym czapka, buty, bicz w ręku i wszystko inne stanowiły całość bez feleru.

Otóż nareszcie i kareta! Staję, patrzę, rzeczywiście ciekawy okaz. Jeszcze zapewne czasy Króla Sasa pamięta. Tylko że trudno w niej dopatrzeć się jakiegokolwiek stylu, bo już nietylko malatura spełzła do szczętu, ale nawet części zastąpione zostały innemi nowszej konstrukcji. Gdzież mnie chudeuszowi siadać do takiej staruszki, która może ongi dumnych senatorów Rzplitej woziła! Wzdragam się. ale zachęcany usilnie przez jej obecnego właściciela, oraz zmuszony koniecznością, ośmielam się nareszcie zbliżyć do niej. Tylko że ja, prostak, nie wiedziałem któremi drzwiami się do niej wchodzi.

Okazało się bowiem, że jedne z nich były zamknięte raz na zawsze. Nie wiem na jaką pamiątkę. Zostały tylko jedne drzwi do użytku. Szczęście, że były choć te jedne, bo chcąc jechać, nie można było by wejść do karety, a co gorsza przyjechawszy do celu podróży, z niej się wydostać. Dodać jesze muszę, że kareta owa zamiast pospolitych szklanych szyb w oknach miała o wiele solidniejsze blachy, a siedzenia i poduszki były takie, że nietylko w Warszawie, ale

i w Paryżu by takich nie dostał. Tyle o karecie.

A konie? Nie, na konie nie chcę patrzeć, bo by mi to popsuło humor na cały miesiąc.

Lubię jechać wieziony siłą mechaniczną, albo końmi, których nadmiar sił aż tryska, albo wreszcie „samo-chodem" z kijkiem w ręku, zaś w zaprzęgu zbiedzonych szkap korzystam tylko z musu. Zresztą szkapy, z siły których miałem zaszczyt w ten dzień korzystać, jak się później okazało, wywiązały się ze swego zadania znakomicie. Siadam tedy do karety i kontent, że nie potrzebuję moknąć, wyciągnąłem utrudzone nogi i czekam kiedy się owo przyobiecane „zaraz" ziści.

Gdybym był karciarzem, byłbym sobie chyba z nudów stawiał kabałę, gdybym był kupcem, byłbym zapewne wymyślił setki różnych kombinacji handlowych i obliczał procenty od dochodów, od procentów dochody; roztrząsał i rozważał upadłości, krachy majątkowe i ich przyczyny, oraz wszelkie możliwe i niemożliwe, a prawdopodobnie korzystne spekulacje. Gdybym był palaczem tytoniu, wypaliłbym z dziesięć paczek papierosów. Gdybym był żonatym i jechał wraz z żoną, napewno zdążyłbym kilka razy pokłócić się i przeprosić; gdybym był kobietą histeryczką, byłbym z dziewięć razy zemdlał z niecierpliwości, byłbym śmiał sią i płakał naprzemiany, zanim właściciel karety przyprowadził jeszcze jednego jegomościa i zanim ruszyliśmy dalej, by znów się zatrzymać i oczekiwać na nowych podróżnych. Że jednak byłem tylko sobą samym, a wiadomo, że mam wielki dar nicnierobienia, więc siedziałem i czekałem cierpliwie. Tylko różne cudaczne myśli jak zgraje śmiesznych chochlików szybko przewijały się w mej wyobraźni, niby jeźdźcy na sztucznych koniach karuzeli przed oczyma widza, a ponieważ nie jestem zbyt wybredny, więc w braku lepszego zajęcia, z amatorstwa oddałem się rozmyślaniom, puściwszy luzem wodze wyobraźni.

Otóż, jak rzekłem, ruszyliśmy trochę dalej, by oczekiwać na innych podróżnych. Ale że wszystko na tym świecie ma podobno koniec, więc i moje oczekiwanie wreszcie się skończyło. Nie mogąc się więc doczekać, zabraliśmy jeszcze jednego obywatela, który wolał siedzieć na koźle używając świeżego powietrza, oraz tak miłej z naszym brodaczem rozmowy, dźwięków której nie życzyłbym słyszeć nawet najgorszemu z moich wrogów; to byłoby zbyt okropne! Ale trudno. Są amatorzy najróżnorodniejszych dziwactw, dlaczegóżby nie miało być amatorów najobrzydliwszego pod słońcem żargonu? O, jakżeż rozmaita jesteś ludzka psyche.

Mieliśmy nadzieję, że uda nam się zabrać po drodze jeszcze jakiego wędrowca, co się niejednokrotnie zdarzało. Ale ciekawość mnie ogarnęła, co też musi być za jeden ten tęgi, poważny jegomość, który bezceremonjalnie zasiadł koło mnie i milczał uparcie, widocznie trapiony jakiemiś przykremi myślami. Więc tytulując go „panie dobrodzieju" zacząłem opowiadać jakie wrażenie zrobił na mnie Bełchatów i jego okolica. Okazało się, że ten „pan dobrodziej..." przepraszam, „pan doktór z Pabjanic", bo tak mi się później zarekomendował, znał nietylko Bełchatów, ale i każdy folwark, każdą wioskę, co mówię! nietylko folwarki i wioski, ale nawet życie, wypadki i poszczególne historje wszystkich niemal mieszkańców na przestrzeni 24 wiorst i nietylko tutaj, ale i gdzieindziej. Stosownie do tego jak przejeżdżaliśmy, opowiadał wskazując na pola i zabudowania: te należą do tego, tamte do owego. Wiedział kiedy się kto ożenił, ile dzieci miał; słowem, całą okolicę znał lepiej niż ja swoją rodzinną wioskę.

„Pan doktór" nie ograniczał się tylko na prostych opisach; owszem, wysnuwał różne wnioski z zakresu ekonomji, polityki i innych zagadnień nauki. Przytym mówił takim wzniosłym, kwiecistym, oraz napuszonym stylem, że ja, prostak, z wielkim wysiłkiem musiałem skupiać uwagę, by choć odrobinę jego mowy zrozumieć. To też nieraz byłem w prawdziwym kłopocie, gdy śród potoku jego płynnej wymowy, ja jeszcze upajałem się słodkiemi dźwiękami jego słów, i wcale niewiedziałem jak mam jego mowę rozumieć, on zwracał się do mnie z zapytaniem o sposób mego na daną sprawę zapatrywania.

(d. c. n.) *Fr. N.*

DZIERŻAWY SADÓW.

Znakomicie prowadzony Tygodnik „Ognisko Rodzinne" podaje interesujący artykuł w kwestji dzierżawy sadów, który i dla Księstwa Łowickiego nie będzie bez znaczenia, podajemy go przeto w całości:

„Kraj nasz przedstawia dobre warunki do rozwoju i wzrostu sadownictwa. Najwięcej przyczyniają się do tego wilgotny klimat z dużą ilością opadów deszczowych, warunkowanych bliskością morza Bałtyckiego, oraz łagodne zimy przy niezbyt upalnych latach. Powinniśmy dobrze zużytkować te przyrodzone właściwości kraju przez jak największe wyzyskanie ziemi, czyli stopniowo powinniśmy przechodzić, bodajby na obszarze całego kraju, od rolnictwa do ogrodnictwa i sadownictwa; powinniśmy dążyć do tego, aby cała Polska stała się jednym wielkim ogrodem tak, jak liczne okolice Francji, Niemiec, Belgji, Czech, Moraw i innych krajów.

Lecz i dziś już mamy sporo sadów i sadków a więc ich przybywa; a teraz coraz więcej ich będzie, w miarę tego jak pocznie znikać w kraju nieszczęsna szachownica, a pozostaną tylko zcalone kawały ziemi.

Niezawsze właściciel sadu ma czas, możność i chęć osobiście sprzedawać owoce. Wielkim sadom handlowym opłaci się utrzymywać specjalnych ludzi do zbioru, pakowania, wysyłania i sprzedawania towaru, opłaci im się zakładać własne sklepy lub posyłać owoce do odległych miast rosyjskich, ale właściciele mniejszych kilkumorgowych sadów są w gorszym położeniu, zwłaszcza wtedy, jeżeli mają sady z drzewami o wielu gatunkach i odmianach.

A właśnie w naszych sadach napotkasz zazwyczaj wiśnię, obok śliwki i czereśni, obok letnich gruszy i jabłoni, jesienne i zimowe gatunki, a przytym każde jeszcze w najrozmaitszych odmianach.

Gdyby właściciel takiego sadu sam chciał sprzedawać owoce, miałby głowę całkowicie tym zaprzątniętą od czerwca do grudnia.

Z tych przyczyn dla właściciela najmniej kłopotliwą formą załatwienia się z owocem jest oddanie sadu w dzierżawę. A że dotąd nikt prawie nie zwracał uwagi na to, komu powinno się sad wydzierżawiać, więc wytworzyły się powoli całe rzesze żydów-sadowników. I oto z nastaniem wiosny masy naszej ludności wiejskiej wędrować muszą na zarobki do prusaków, a jednocześnie setki rodzin żydowskich ciągną na wieś do naszych sadów, i sadków, zaledwie okwitną.

Zastanówmy się nad sposobami wyrugowania żydów z sadów. Przyznać trzeba, że nie jest to rzeczą łatwą, głównie wskutek braku przedsiębiorców. Oddawanie sadów żydom przedstawia dla właścicieli tę dogodność, że żyd daje pieniądze nieraz już w jesieni, więc prawie na rok przed zbiorem, rozumie się, bierze wtedy sad w cenie niższej, lecz za to ponosi stratę procentu od oddanej sumy, oraz ryzyko w razie nieurodzaju. Przedsiębiorcy chrześcijanie tylko wtedy będą mogli skutecznie konkurować z żydem, jeżeli dadzą te same warunki, co żyd. Jeżeli więc nie w jesieni, to na wiosnę przed kwiatem, czyli na pąk, lub na kwiat, muszą z góry zapłacić za dzierżawę. Sprawa zwrotu części sumy w razie gorszego urodzaju powinna być naprzód umówioną. Lecz najwłaściwiej wykluczyć zupełnie zwrot pieniędzy.

Dzierżawa sadu jest takim samym handlem, jak każdy inny, w którym powinny być ustalone zasady postępowania i w którym nie jest nigdy wykluczone pewne ryzyko. Nadzieja zwrotu pieniędzy psuje dzierżawcę. Jeżeli zaś niemoże się na to oglądać, gorliwiej zabiega około najkorzystniejszego zbycia owoców, bo inaczej grozi mu strata, a właściciela taka umowa zachęca do oddania sadu temuż samemu przedsiębiorcy i w latach następnych, aby mógł sobie powetować poprzednią stratę.

Sądzę, że najwłaściwszym materjałem, z którego wyrobić się mogą przyszli nasi sadownicy, są małorolni kilkumorgowi gospodarze, zazwyczaj rozporządzają oni kilkuset rublowym funduszem i znają dobrze okoliczne sady. Należy ich zachęcać, aby zbiorowo po dwuch, trzech czy czterech podejmowali się dzierżaw. W takich spółkach mogą się brać nawet do większych sadów, a przy ruchliwości, umiejętnym obejściu się z owocem, częstych rozjazdach po okolicznych miasteczkach i wioskach w dnie zwyczajne i świąteczne, przy dobrym wyzyskaniu okolicznych odpustów, targów i wszelakich zgromadzeń—spieniężenie nawet najgorszego owocu będzie nietrudne i pewne. A zbyć dobry towar zawsze łatwo. Zabierze go w każdej porze i po dobrej cenie czy to warszawska spółka owocarska, czy prywatni kupcy do sklepów. Dla uniknięcia nieporozumień pieniężnych, spólnicy sadownicy powinni wszędzie jeździć i sprzedawać nie pojedyńczo, lecz po dwuch razem, dokładnie zapisywać każdą otrzymywaną kwotę, inaczej nieobliczą ile zarobili, ile stracili. Przy ruchliwości sadowników, jakiej takiej umiejętności obchodzenia się z owocem, strata będzie wykluczona. Sady dobrze utrzymane nie przedstawiają ryzyka, mniej pewne są sadki gorzej utrzymywane, lecz za to tanio można je nabyć.

Kto się przyglądał pracy żydków sadowników, ten potwierdzi, że dużo zmarnotrawią owocu wskutek niedbalstwa, niechlujstwa i lenistwa, że mają oni zazwyczaj bardzo małą umiejętność obchodzenia się z owocem, a jednak od dziesiątków lat trzymają się sadów. Nasz chłop z pewnością nie gorzej, a zapewne lepiej potrafiłby zbierać i sprzedawać owoc, zwłaszcza gdyby mu pośpieszyli z najmniejszą bodajby radą i pomocą sąsiedzi zawodowi ogrodnicy, lub przyjezdni instruktorzy. Niemałą pomocą mogłyby się stać dla chrześcijan sadowników miejskie przekupki, gdyby je chcieli w tym kierunku wyrabiać i używać do rozprze-

daży gorszego owocu, po okolicznych wioskach, miasteczkach i letniskach. Jestem pewny, że baby wiejskie mogą się stać doskonałemi przekupkami, jak tylko się przekonają, że więcej tam zarobią niż przy robocie polnej. Bardzo pomocną dla chrześcijan sadowników byłaby znajomość przetworów owocowych, wyrób różnych powideł i serów owocowych, pozwalałoby to im zużywać korzystnie nadmiar owoców w razie taniości.

Wędrowne kursy o przetworach owocowych byłyby bardzo pożyteczne dla kraju. Pomyślmy wszyscy nad sprawą wyrugowania żydów z sadów, aby oddać ten zarobek własnej ludności wiejskiej; dopomóżmy wszyscy do wytworzenia się typu chłopa sadownika.

Władysław Skup.

Tydzień polityczny.

W sprawie samorządu ogłoszono listę głosowania imiennego w Izbie Państwowej. Za projektem głosowali Polacy, październikowcy, grupa centrum, postępowcy, kozacy, machometanie, większość kadetów, oraz Bobrinskij, Wołkonskij i Rodzianko. Przeciw projektowi głosowali, nacjonaliści, część prawicy, socjal demokraci, grupa pracy, poseł łódzki Bomasz, warszawski—Jagieła.

Gazety rosyjskie zapewniają, że pan Goremykin oświadczył podobno, „iż z całą energją bronić będzie projektu samorządowego i zażąda od Rady Państwa, aby go przyjęła w redakcji Dumy. Pisma przypuszczają, że ostateczna decyzja samorządu, zapadnie prawdopodobnie nie prędzej jak za miesiąc.

„Wieczernieje Wremia,“ pisze, że w wyższych sferach rządowych odrzucenie projektu prawodawczego, tak niezbędnego dla ludności Królestwa Polskiego, uważane jest za bardzo niepożądane“.

Co się tyczy praw języka polskiego, któremu Izba Państwowa przeznaczyła skromny zakres, pozwalając jedynie na polskie przemówienia,—poseł Swierzynski oświadczył, że Koło Polskie stoi niewzruszenie na dawnym stanowisku i ustęp o języku w redakcji Rady Państwa, uważamy za niemożliwy do przyjęcia.

W dzienniku „Igaz Mondo“, prezes ministrów, hr. Tisza, zamieścił artykuł o polityce zagranicznej w którym podnosi, że Austro-Węgry pierwsze głosiły niezależność i wolny rozwój narodów chrześcjańskich na półwyspie Bałkańskim. W tym zadaniu idą one ręka w rękę z Rosją i mogą natknąć się na przeciwieństwa w Rosji tylko w tym wypadku, jeżeli Rosja będzie dążyła do zawojowania narodów bałkańskim, lub do opieki nad niemi. Na ostatniej sesji delegacji hr. Tisza oświadczył, iż monarchja okaże większe usługi sprawie pokoju, jeżeli w przyszłości polityka Rosji nie będzie stała w sprzeczności z dążeniami Rosji i Austro-Węgier na Bałkanach. Jednakże w narodzie rosyjskim daje się silnie odczuwać kierunek panslawistyczny, zwrócony przeciwko żywotnym sprawom Austro-Węgier, zwłaszcza zaś przeciwko narodowi węgierskiemu i gdyby ten kierunek uzyskał przewagę w polityce rosyjskiej, oznaczałoby to poważne niebezpieczeństwo wojny, przeciwko któremu szukaliśmy i znaleźliśmy schronienie w trójprzymierzu.

Uchwalenie cła na zboże niemieckie przez Dumę i zapowiedziane jakoby bojkotowanie przemysłu niemieckiego przez ministerja, wywołały w prasie niemieckiej wielkie wrażenie.

Prasa przewiduje zaciętą walkę o traktat handlowy i nawet możliwość wojny celnej.

Przegląd powszechny.

-o- **Chrzest żydówki.** W dniu 19 b. m. w kościele św. Zygmunta w Częstochowie odbył się chrzest żydówki 19-o letniej. Neofitka otrzymała na chrzcie św. imię Józefy.

-o- **Zakaz wywozu koni zagranicę.** Rada ministrów pod przewodnictwem sekretarza stanu Goremykina postanowiła wnieść do izb prawodawczych propozycję ministerjum handlu i przemysłu, zakazującą wywożenia koni zagranicę. W ostatnich czasach dał się zauważyć wzmożony wywóz z Rosji koni do państw bałkańskich, Austryi i innych krajów, co do tego stopnia podniosło ceny, że władze wojskowe zmuszone były przekraczać znacznie otrzymane na ten cel kredyty. Ograniczenie powyższe ma temu zapobiec. Będzie ono rozszerzone również na Finlandję, na drodze prawodawstwa miejscowego.

-o- **Emerytura dla Pisarzy gminnych.** Ministerjum spraw wewnętrznych przystąpiło do opracowania projektu prawa o utworzeniu kasy emerytalnej dla pisarzy gminnych. Projektowana kasa pisarzy gminnych działać ma na takich samych zasadach, co kasa emerytalna nauczycieli ludowych.

Redaktor i wydawca **Karol Rybacki.** W Drukarni K. Rybackiego w Łowiczu.